



BERNARD

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM XIII



PAN
WOJNY



WOJNY
WIKINGÓW
TOM XIII

PAN
WOJNY



B E R N A R D
Cornwell

PAN
WOJNY

TLUMACZENIE
ANNA DOBRZAŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2021

Tytuł oryginału: *War Lord*

© Bernard Cornwell, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Otwarte 2021

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Wydawca prowadzący: Olga Orzel-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Przyjęcie tłumaczenia, adiustacja, korekta i łamanie: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-103-4



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na www.znak.com.pl

Niniejszą książkę dedykuję Alexandrowi Dreymonowi

SPIS TREŚCI

NAZWY GEOGRAFICZNE / 9

CZĘŚĆ PIERWSZA

Złamana obietnica / 13

CZĘŚĆ DRUGA

Diabelskie dzieło / 201

CZĘŚĆ TRZECIA

Rzeź / 313

NOTA HISTORYCZNA / 469

OD AUTORA / 475

NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji w pisowni, a nierzadko nawet zgody co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru czy Lundres. Bez wątplenia znajdą się czytelnicy będący zwolennikami innych wariantów nazw aniżeli te, których zdecydowałem się użyć w powieści* i których wykaz zamieszczam poniżej. W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names* dla okresu przypadającego na lata panowania Alfreda, to jest 871–899. Mam jednak pełną świadomość, że nawet ta strategia czasami okazywała się zawodna. Na przykład w 956 roku nazwa Hayling była zapisywana zarówno jako Heilincigae, jak i Haeglingaiggae. Przyznaję, że i ja nie zawsze byłam

* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesnym terminem Londyn zamiast proponowanego przez autora Lundene. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy, Orkadów i Hebrydów. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

wierny przyjętemu kluczowi: woląłem posługiwać się nazwą Northumbria zamiast Nordhymbraland, by uniknąć posądzenia o to, iż sugeruję, że granice tego historycznego królestwa były zbieżne ze współczesnymi granicami hrabstwa Northumberland. Dlatego prezentowaną tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BRYNSTAETH	Brimstage, hrabstwo Cheshire
BURGHAM	Eamont Bridge, Kumbria
CAIR LIGUALID	Carlisle, Kumbria
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
DACORE	Dacre, Kumbria
DINGESMERE	Wallasey Pool, hrabstwo Cheshire
DUN EIDYN	Edynburg, Szkocja
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durham
DYFLIN	Dublin, Irlandia
EAMOTUM	rzeka Eamont
EOFERWIC	York (pod duńskimi rządami przemianowany na Jorvik)
FOIRTHE	rzeka Forth
HEAHBURH	fikcyjna nazwa dawnego rzymskiego fortu, Whitley Castle, Kumbria
HEDENE	rzeka Eden
HLYMREKR	Limerick, Irlandia
LAUTHER	rzeka Lowther
LEGECEASTERSCIR	hrabstwo Cheshire
LINDCOLNE	Lincoln, hrabstwo Lincolnshire

LINDISFARENA	Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), stanowi część hrabstwa Northumberland
MAERSE	rzeka Mersey
MAMECEASTER	Manchester
MANN	wyspa Man
RAMMESBURI	Ramsbury, hrabstwo Wiltshire
RIBBEL	rzeka Ribble
SCRIPTON	Skipton, Yorkshire
SNAELAND	Islandia
SNOTENGAHAM	Nottingham, hrabstwo Nottinghamshire
STRATH CLOTA	Strathclyde, historyczne królestwo w południowo-zachodniej Szkocji
SUMORSAETE	hrabstwo Somerset
TESA	rzeka Tees
TINE	rzeka Tyne
TUEDE	rzeka Tweed
WILTUNSCIR	hrabstwo Wiltshire
WIRHEALUM	półwysep Wirral, hrabstwo Cheshire

CZĘŚĆ PIERWSZA

ZŁAMANA OBIETNICA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Latem kolczuga bardzo się nagrzewa, nawet jeśli przywdzieje się na nią cienką lnianą koszulę. Metal jest ciężki i robi się niemiłosiernie gorący. Pod kolczugą jest skórzana podszewka, która też jest gorąca, a tego ranka z nieba lał się żar. Mój koń był niespokojny i rozeźlony nękającymi go chmurami much. Na wzgórzach pod palącym słońcem próżno było szukać śladu wiatru. Aldwyn, mój sługa, niósł moją włócznię i okutą żelazem tarczę z namalowanym na niej wilczym łbem, symbolem Bebbanburga. Oddech Węża, mój miecz, wisiał u mego lewego boku, lecz jego rękojeść była niemal zbyt gorąca, by dało się jej dotknąć. Mój hełm zwieńczony srebrną głową wilka tkwił na łąku siodła. Gdy go przywdziewałem, zakrywał całą głowę. Był wyścielany skórą i miał osłony na policzki, które skrywały moją twarz tak, że wrogowie zobaczyliby jedynie oczy okolone stalą. Nie ujrzeliby potu ni blizn, które pozostawiły po sobie liczne bitwy.

Zobaczyliby wilczy łeb, złoto na mej szyi i grube bransolety zdobyte w walce. Rozpoznałiby mnie, a najdzielniejsi albo najgłupszy spośród nich próbowaliby mnie zabić dla rozgłosu, jaki zapewniłaby im moja śmierć. Dlatego

przywiodłem na wzgórze osiemdziesięciu trzech ludzi: ci, którzy zechcieliby pozbawić mnie życia, musieliby wprawdzie zmierzyć się z moimi wojakami. Byliśmy wojownikami Bebbanburga, dziką watahą z północy. A wśród nas był jeden ksiądz.

Klecha dosiadał jednego z moich rumaków, nie miał kolczej koszuli ani żadnej broni. Był ode mnie o połowę młodszy, jednak skronie miał przyprószone siwizną. Twarz miał podłużną, gładko ogoloną, wzrok przenikliwy. Odziany był w długą czarną szatę, a na jego piersi lśnił złoty krzyż.

- Nie gorąco ci w tej kiece? - warknąłem do niego.

- Niewygodnie - odparł.

Rozmawialiśmy w mowie Duńczyków, jego ojczystym języku i języku mojego dzieciństwa.

- Czemu zawsze walczę po niewłaściwej stronie? - spytałem.

Słyszając to, uśmiechnął się.

- Nawet ty nie jesteś w stanie uciec przed przeznaczeniem, lordzie Uhtredzie. Musisz wypełniać wolę Pana, czy tego chcesz czy nie.

Powstrzymałem się od ciętej riposty i wbilem wzrok w rozległą, bezdrzewną dolinę, gdzie słońce odbijało się od nagich skał i drżało srebrem w wąskim potoku. Wyssoko na wschodnim zboczu pasły się owce. Dostrzegłszy nas, pasterz próbował przegnać stado nieco dalej, na południe, lecz strzegące owiec dwa psy były zmęczone i spragnione i zamiast zagonić owce, tylko je przestraszyły. Pastuch nie miał się czego bać, jednak przeraził się na widok konnych i błysku stali. Głęboko w dolinie rzymski trakt - który

teraz bardziej przypominał usianą kamieniami wąską ścieżkę ubitej ziemi – biegł wzdłuż strumienia, by tuż za wzgórzem skręcić na zachód. Tam właśnie czekaliśmy. Nad zakrętem drogi kołował jastrząb niesiony ciepłymi prądami. Południowy horyzont drgał i falował.

W rozedrganym powietrzu pojawił się jeden z moich zwiadowców. Gnał na złamanie karku, a to oznaczało tylko jedno. Nadciągał wróg.

Zawróciłem swych wojów i klechę i ukryliśmy się. Wysunąłem Oddech Węża z pochwy na długość dłoni i wsunąłem go z powrotem. Aldwyn wyciągnął ku mnie włócznię, lecz pokręciłem głową.

– Zaczekaj, aż ich ujrzymy – zwróciłem się do niego. Po dałem mu swój hełm, zsiadłem z konia i razem z Finanem i mym synem Uhtredem wspięliśmy się na grzbiet wzgórza, gdzie położywszy się, patrzyliśmy na południe. – Wszystko jest nie tak – orzekłem.

– To przeznaczenie – odparł Finan. – A przeznaczenie jest podle. – Leżeliśmy w wysokiej trawie, obserwując tumany kurzu wzbijane przez końskie kopyta. – Powinien jechać skrajem drogi – dodał. – Tam się nie kurzy.

Zwiadowca, w którym rozpoznałem Oswiego, zjechał z drogi i zaczął długą wspinaczkę na szczyt, na którym czekaliśmy przyczajeni.

– Jesteś pewien, że to smok? – spytałem.

– Takiej bestii nie sposób z niczym pomylić – odparł Finan. – Przyleciała z północy.

– A gwiazda spadła z północy na południe – dodał mój syn i sięgnął do piersi, żeby dotknąć krzyża. Mój syn jest chrześcijaninem.

Kurz w dolinie opadł. Nadciągał wróg. Sęk jednak w tym, że nie wiedziałem, kim on jest. Wiadomo było tylko, że tego dnia muszę się zmierzyć z królem, który nadejdzie od południa. Wszystko było nie tak, bo zarówno gwiazda, jak i smok oznaczały, że zło nadciągnie z północy.

Wypatrujemy znaków. Nawet chrześcijanie ich wypatrują. Obserwujemy ptaki, obawiamy się upadku gałęzi, śledzimy ruchy wiatru na powierzchni wody. Słyszac szczenięcia lisicy, wstrzymujemy oddech i dotykamy amuletów, gdy pęknie struna harfy. Lecz trudno odczytać znaki, gdy bogowie nie chcą ujawnić nam swych planów. Trzy noce temu wysłali mi wiadomość, której nie sposób było odczytać.

Zło nadejdzie z północy.

Na nocnym niebie nad Bebbanburgiem pojawił się smok. Nie widziałem go, lecz Finan go widział, a ja ufam Finanowi. Mówił, że był ogromny, miał skórę jak kute srebro, ślepią jak żarzące się węgle, a skrzydła tak wielkie, że zasłaniały gwiazdy. Gdy nimi łopotał, woda na powierzchni morza marszczyła się jak podczas wichury. Smok zwrócił łeb ku Bebbanburgowi i Finan przeraził się, że splunie ogniem, lecz potężne skrzydła załopotaly raz jeszcze, morze pod nimi zadrżało i bestia odleciała na południe.

- A ubiegłej nocy spadła gwiazda - powiedział ojciec Kutbert. - Mehrasa widziała.

Ojciec Kutbert, ksiądz w Bebbanburgu, był ślepcem, który poślubił Mehrasę, egzotyczne, piękne ciemnoskórą dziewczę, wiele lat temu uratowane przez nas z rąk handlarza niewolników w Londynie. Z przyzwyczajenia nazywam

ją dziewczęciem, choć jest już kobietą w średnim wieku. Wszyscy się starzejemy – pomyślałem.

– Gwiazda spadła z północy na południe – przypomniał ojciec Kutbert.

– A smok przyleciał z północy – dodał Finan.

Nic nie rzekłem. Benedetta oparła się o me ramię. Ona również milczała, jednak mocniej ścisnęła mnie za rękę.

– Znaki i dziwy – rzekł ojciec Kutbert. – Wydarzy się coś strasznego. – Mówiąc to, uczynił znak krzyża.

Był wczesny letni wieczór. Siedzieliśmy przed wielką salą w Bebbanburgu, gdzie jaskółki latały wokół okapu, a wysokie fale przetaczały się bezustannie po plaży pod wschodnimi murami. Fale nadają nam rytm – pomyślałem. Ten ciągły dźwięk, który wznosi się i opada. Urodziłem się przy jego wtórze i wkrótce będę musiał umrzeć. Dotknąłem młota Thora zawieszzonego na szyi i zmówiłem cichą modlitwę, prosząc, bym umarł, słysząc chlupot fal i pokrzykiwania mew.

– Coś strasznego nadciągnie z północy – powtórzył ojciec Kutbert.

A może smok i spadająca gwiazda zwiastowały moją śmierć? Kolejny raz zacisnąłem palce na talizmanie. Wciąż mam dość sił, by dosiadać konia, dźwigać tarczę i dzierżyć miecz, ale z końcem dnia ból w kościach mówi mi, że jestem stary.

– Najgorsze w śmierci jest to, że nie wiemy, co wydarzy się później – przerwałem milczenie.

Przez chwilę nikt się nie odzywał, aż w końcu Benedetta znowu ścisnęła mnie za rękę.

– Jesteś głupcem – powiedziała czule.

– Zawsze nim był – wtrącił Finan.

– Może z Walhalli będziesz widział, co dzieje się na dole – zaproponował ojciec Kutbert. Jako chrześcijański ksiądz nie powinien wierzyć w Walhallę, lecz już od dawna był wobec mnie pobłażliwy. – A może dołączysz do Kościoła rzymskiego, panie? – dodał psotnie. – Zapewniam cię, że z niebios widać ziemię!

– Na różne sposoby próbowałeś mnie nawrócić – przypomniałem mu. – Nigdy jednak nie słyszałem, byś mówił, że w niebie mają piwo.

– Zapomniałem o tym wspomnieć? – spytał, nadal się uśmiechając.

– W niebie będzie wino – odparła Benedetta. – Dobre wino z Italii.

Zapadła cisza. Nikt z nas nie lubił wina.

– Słyszałem, że król Hywel wyruszył do Italii – przemówił po chwili mój syn. – A może tylko myśli, żeby się tam wyprawić?

– Do Rzymu? – zapytał Finan.

– Tak mówią.

– Chciałbym udać się do Rzymu – rzekł tęsknie ojciec Kutbert.

– Nic tam nie ma – rzuciła pogardliwie Benedetta. – Same ruiny i szczury.

– I ojciec święty – dodał łagodnie Kutbert.

Znowu zapadła cisza. Hywel, którego lubilem, był królem Dyfedu, i jeśli uznał, że bezpiecznie jest podróżować do Rzymu, znaczyło to, że między jego Walijszycami i Sasami z Mercji musiał zapanować pokój. Jednak smok nie nadleciał z zachodu, lecz z północy.

- Szkoci – mruknąłem.
- Są zbyt zajęci walką z Norwegami – orzekł szorstko Finan.
- I najeżdżaniem Kumbrii – dodał ojciec Kutbert.
- Wszyscy jesteśmy starzy – stwierdziłem.
- A Konstantyn prędzej zacznij budować klasztory, niż rozpęta wojnę – ciągnął księżulo.

Wątpiłem, by tak było. Konstantyn był królem Szkocji. Lubilem się z nim spotykać. Był mądrym, wytwornym mężem, ale mu nie ufałem. Żaden z mieszkańców Northumbrii nie ufał Szkotom, tak jak Szkoci nie ufali Northumbryjczykom.

- To się nigdy nie skończy – rzuciłem smętnie.
- Co? – spytała Benedetta.
- Wojna. Kłopoty.
- Kiedy wszyscy będziemy chrześcijanami... – zaczął ojciec Kutbert.
- Ha! – uciałem.
- Ale smok i gwiazda nie kłamią – ciągnął Kutbert. – Kłopoty nadciągają z północy. Tak przepowiedział prorok w swoich księgach! *Quia malum ego adduco ab aquilone et contritionem magnam.* – Zamilkł z nadzieją, że któreś z nas poprosi go, by nam to przełożył.
- Sprowadzę bowiem nieszczęście z północy i wielkie zniszczenie* – rozczarowała go Benedetta.
- Wielkie zniszczenie! – powtórzył złowieszczo ojciec Kutbert. – Zło nadejdzie z północy! Tak jest napisane!
- I nazajutrz nadciągnęło zło.

* Cyt. za: Biblia Tysiąclecia, Jr 4, 6.

Z południa.

Statek przyплыł z południa. Dzień był niemal bezwietrzny, morze spokojne, a niskie fale leniwie lizaly długą plażę Bebbanburga. Zbliżająca się łódź z krzyżem zatkniętym na dziobnicy pozostawiała za sobą szeroki pas falującej wody mieniającej się złotem w promieniach porannego słońca. Płynęła na wiosłach, które unosiły się i opadały w powolnym, nużącym rytmie.

– Biedni dranie, musieli wiosłować całą noc – odezwał się Berg. Dowodził oddziałem porannej straży pilnującej murów Bebbanburga.

– Czterdzieści wiosł – rzekłem bardziej dla podtrzymania rozmowy niż po to, by poinformować Berga o czymś, co sam przecież widział.

– I płyną w naszą stronę.

– Ciekawe skąd.

Berg wzruszył ramionami.

– Co się dziś wydarzy? – zapytał.

Tym razem to ja wzruszyłem ramionami. Wydarzy się to, co zawsze. Zapłonie ogień pod saganami, w których gotować się będą ubrania, w dołkach osadowych na północ od fortecy osadzi się sól, ludzie będą wprawiać się w walce z tarczami, mieczami i włóczniami i w jeździe konnej, ryby będą się wędzić, z głębokich studni czerpana będzie woda, a w kuchniach twierdzy będzie się warzyć piwo.

– Niczego nie planuję – odparłem. – Ale ty możesz wziąć dwóch ludzi i przypomnieć Olafowi Einersonowi, że jest mi winien pieniądze za dzierżawę. Mnóstwo pieniędzy.

– Jego żona nie domaga, panie.

– To samo mówił ubiegłej zimy.

– I Szkoci ukradli mi połowę trzody.

– Prędeż im ją sprzedał – mruknąłem gorzko. – Nikt inny nie skarżył się tej wiosny na szkockich łupieżców.

Olaf Einerson odziedziczył dzierżawę po ojcu, który zawsze na czas płacił mi w srebrze albo owczym runie. Olaf był roslym i zdolnym człowiekiem, który, jak mi się zdawało, chciał od życia czegoś więcej niż hodowanie owiec na wzgórzach.

– Albo lepiej weź piętnastu ludzi i nastraszyć drania – odezwałem się po chwili. – Nie ufam mu.

Łódź była teraz na tyle blisko, że widziałem trzech mężczyzn siedzących na rufie. Jeden z nich był księdzem, a przynajmniej nosił długą czarną szatę. To on wstał i zaczął wściekle machać rękami, żeby zwrócić na siebie naszą uwagę. Nie zareagowałem.

– Kimkolwiek są – zwróciłem się do Berga – przyprowadź ich do sali. Niech popatrzą, jak raczę się piwem. I zaczekaj, nim wlejesz trochę oleju do łba Olafa.

– Zaczekać, panie?

– Zobaczymy, jakie przynoszą wieści – odparłem, wskazując głową łódź, która skręcała teraz ku wąskiemu wejściu do przystani Bebbanburga. Z tego, co widziałem, statek nie przewoził żadnego ładunku, a wioślarze wyglądali na wycieńczonych, co znaczyło, że wieści były pilne.

– To łódź Aethelstana – powiedziałem.

– Aethelstana? – powtórzył Berg.

– Nie płyń z Northumbrii, prawda? – spytałem. Northumbryjskie łodzie miały węższe dzioby, podczas gdy cieśle okrętowi z południa woleli, gdy były one szersze. Poza tym na dziobnicy statku zatknęto krzyż, a te z rzadka

pojawiwały się na statkach płynących z Northumbrii. – I kto posyła księży, by przekazywali wieści?

– Król Aethelstan.

Patrzyłem, jak łódź wpływa do kanału, po czym razem z Bergiem zesliśmy z murów.

– Zadbaj o wioślarzy. Daj im strawy i piwa. I przyprowadź do mnie przekłętą klechę.

Sam udałem się do sali, gdzie dwie niewolne wymiatały pajęczyny długimi wierzbowymi witkami, na których czubkach przywiązano pęki piór. Benedetta przyglądała się im, pilnując, by w fortecy nie pozostał nawet jeden pajak.

– Mamy gości – zwróciłem się do niej. – Zatem twoja wojna z pajakami będzie musiała zaczekać.

– To nie wojna – odrzekła. – Lubię pająki. Ale nie w swoim domu. Kim są goście?

– Zgaduję, że posłańcami Aethelstana.

– A więc musimy ugościć ich jak należy! – Klasnęła w dłonie i poleciała wnieść lawy. – I znieście tron z podwyższenia – przykazała.

– To żaden tron – przypomniałem jej. – Tylko wymyślne krzesło.

– Phi! – fuknęła. Robiła tak zawsze, gdy ją irytowałem. Słyszając ten dźwięk, uśmiechałem się, co jeszcze bardziej ją złościło. – To tron – upierała się. – A ty jesteś królem Bebbanburga.

– Panem – poprawiłem ją.

– Jesteś takim samym królem jak ten głupiec Guthfrith. – Uczyniła znak chroniący przed złem. – Albo Owain, albo jak każdy inny. – Wielokrotnie się o to sprzeczailiśmy, ale tym razem postanowiłem dać za wygraną.

– Powiedz dziewczętom, żeby przyniosły piwo – przypomniałem jej. – I jedzenie. Dobrze, żeby nie było czerstwe.

– A ty powinienes przywdziać czarną szatę. Przyniosę ją.

Benedetta pochodziła z Italii. W dzieciństwie została wykradziona z domu przez handlarzy niewolników i przez lata służyła u kolejnych panów, aż w końcu trafiła do Wessexu. Uwolniłem ją i teraz była panią na Bebbanburgu, choć jej nie poślubiłem. „Moja babka – powtarzała wielokrotnie, zawsze czyniąc przy tym znak krzyża – mówiła mi, że nie powinnam wychodzić za mąż. Będę przeklęta! Dość przekleństw spotkało mnie w życiu. Teraz jestem szczęśliwa! Po co ryzykować i sprowadzać na siebie klątwę? Moja babka nigdy się nie myliła!”

Niechętnie pozwoliłem, by udrapowała mi na ramionach kosztowną czarną szatę – nie zgodziłem się włożyć na głowę brązowanej opaski należącej niegdyś do mojego ojca – i z Benedettą u boku czekałem na księdza.

Człowiekiem, który wszedł ze słońca w zakurzone cienie wielkiej sali, okazał się stary przyjaciel. Ojciec Oda, teraz biskup Rammesburi, był wysoki i elegancki, a brzeg jego długiej szaty wykończono ciemnoczerwonym materiałem. Towarzyszyło mu dwóch wojowników, którzy bez słowa oddali memu zarządcy swoje miecze i razem z Odą ruszyli ku mnie.

– Można by pomyśleć, że jesteś królem! – rzekł biskup, podchodząc bliżej.

– Bo jest – obstawała przy swoim Benedetta.

– Można by też pomyśleć, że jesteś biskupem – odparłem. Uśmiechną się.

– Bo jestem nim, lordzie Uhtredzie. Z łaski Pana.

– Z łaski Aethelstana – przypomniałem mu, po czym wstałem i objąłem go serdecznie. – Powinienem ci pogratulować?

– Jeśli taka twoja wola. Myślę, że jestem pierwszym duńskim biskupem w Englalandzie.

– Tak to teraz nazywacie?

– Tak jest łatwiej, niż mówić, że jestem pierwszym duńskim biskupem w Wessexie, Mercji i Anglii Wschodniej. – Pokłonił się Benedectcie. – Dobrze cię znowu widzieć, pani.

– Ciebie również, biskupie – odrzekła i dygnęła.

– Ach! A więc plotki były fałszywe! W Bebbanburgu wiedzą, co to uprzejmość! – Uśmiechnął się do mnie zadowolony ze swego żartu, na co ja również się uśmiechnąłem. Oda, biskup Rammesburi! Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że był Duńczykiem, synem pogan, którzy najechali Anglię Wschodnią pod wodzą Ubbby, którego zabiłem. A teraz duński syn pogańskich rodziców był biskupem w saskim Englalandzie! Nie żeby na to nie zasłużył. Oda był subtelnym, byстрыm człowiekiem, który – z tego, co wiedziałem – był również niezwykle uczciwy.

Nastąpiła chwila przerwy, ponieważ Finan, dowiedziawszy się o przybyciu Ody, przyszedł się z nim przywitać. Oda był z nami, gdy broniliśmy Crepelgate, „bramy kalek”, w Londynie, podczas bitwy, która uczyniła Aethelstana królem. Może nie jestem chrześcijaninem i nie darzę sympatią ich religii, lecz trudno nie lubić człowieka, który walczył u twojego boku w rozpaczliwym starciu.

– Ach, wino. – Oda powitał służebną, po czym zwrócił się do Benedetty. – Zapewne błogosławione przez słońce Italii?

– Raczej obszczone przez frankijskich wieśniaków – mruknąłem.

– Widzę, pani, że lord Uhtred jest równie uroczy jak zawsze. – Oda usiadł. Chwilę później spojrział na mnie i dotknął ciężkiego złotego krzyża wiszącego mu na piersi. – Przynoszę wieści, lordzie Uhtredzie. – W jego głosie pobrzmiwała teraz nieufność.

– Domyśliłem się.

– Które ci się nie spodobają. – Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Które mi się nie spodobają – powtórzyłem i czekałem.

– Król Aethelstan jest w Northumbrii – rzekł ze spokojem, wciąż na mnie patrząc. – Trzy dni temu dotarł do Eoferwicu. – Urwał, jakby spodziewał się, że zaprotestuję, ja jednak milczałem. – Król Guthfrith – podjął po chwili – opacznie zrozumiał nasze przybycie i zbiegł.

– Opacznie zrozumiał – powtórzyłem.

– W rzeczy samej.

– Zbiegł przed tobą i Aethelstanem? Tylko przed wami dwoma?

– Oczywiście, że nie – odparł Oda wciąż dziwnie spokojny. – Towarzyszyło nam dwa tysiące ludzi.

Dość się w życiu nawojowałem. Chciałem siedzieć w Bebbanburgu, słuchać szumu obmywających plażę fal i westchnień wiatru pod okapem. Wiedziałem, że mój czas dobiega końca, jednak bogowie byli wobec mnie łaskawi. Mój syn był już mężczyzną i to on miał odziedziczyć po mnie ziemie, ja wciąż mogłem jeździć konno i polować. No i miałem Benedettę. To prawda, że łatwo wpadała

w złość, ale była lojalna i kochająca, miała w sobie blask, który rozświetla posępne, szare chmury, i kochałem ją.

- Dwa tysiące ludzi - rzuciłem beznamiętnie. - I nadal mnie potrzebuje?

- Tak, panie, prosi cię o pomoc.

- Nie potrafi sam przeprowadzić inwazji? - Zaczynałem się denerwować.

- To nie inwazja, panie - odparł ze spokojem Oda. - Tylko królewska wizyta. Wymiana uprzejmości między władcami.

Mógł to sobie nazywać, jak chciał, lecz dla mnie wciąż była to inwazja.

A ja byłem wściekły.

Byłem wściekły, bo Aethelstan przysiągł mi, że póki żyję, nie najedzie Northumbrii. Tymczasem on i jego armia byli teraz w Eoferwicu, a ja miałem osiemdziesięciu trzech ludzi, którzy czekali za wzgórzem niedaleko na południe od Bebbanburga, by wykonać jego polecenie. Miałem ochotę odmówić Odzie, powiedzieć mu, żeby wracał na swój przeklęty statek, płynął do Eoferwicu i napluł Aethelstanowi w twarz. Czuję się zdradzony. Dałem Aethelstanowi jego tron, on zaś od czasu walki o Crepelgate ignorował mnie. Tym się jednak nie przejmowałem. Jestem Northumbryjczykiem, żyję z dala od ziem Aethelstana i chciałem jedynie, by zostawił mnie w spokoju. Kiedy przyszedłem na świat, saska Brytania była podzielona na cztery kraje: Wessex, Mercję, Anglię Wschodnią i moją kochaną Northumbrię. Król Alfred, dziadek Aethelstana, marzył o zjednoczeniu ich w jeden kraj, który nazywał Englalaniem. Jego marzenie w końcu się spełniało.

Król Aethelstan władał Wessexem, Mercją i Anglią Wschodnią, ale nie Northumbrią. Aethelstan wbrew złożonej przysiędze wjechał do mego kraju z dwutysięczną armią i prosił mnie o pomoc. Znowu. W głębi serca wiedziałem, że los Northumbrii jest przesądzony. Że zabierze ją Aethelstan albo Konstantyn przyłączy ją do swoich ziem, lojalność zaś nakazywała mi stanąć po stronie tych, którzy mówili moim językiem, mową Sasów, którą nazywamy aenglisc.

Dlatego też powiodłem osiemdziesięciu trzech wojowników z Bebbanburga, by zasadzić się na króla Guthfritha z Northumbrii, tego samego, który zbiegł przed najazdem Aethelstana. Słońce prażyło, a powietrze było nieruchome.

Dosiadający spienionego rumaka Oswi przyniósł wieści o nadciągającym Guthfricie.

– Wkrótce, panie – powiedział.

– Ilu ludzi? – spytałem.

– Stu czternastu. Są też jeńcy.

– Jeńcy? – spytał ostro biskup Oda, który uparł się, żeby nam towarzyszyć. – Spodziewaliśmy się tylko jednego jeńca.

– Mają też kobiety – zwrócił się do mnie Oswi. – Pędzą je jak owce.

– Kobiety idą pieszo? – spytałem.

– Niektórzy mężczyźni też, panie. A wiele koni utyka. Uchodzili w pośpiechu! – Wziął od Rorika skórzany bukłak, przepłukał usta piwem, splunął na ziemię i pociągnął głęboki łyk. – Wyglądają, jakby podróżowali całą noc.

– Możliwe, że tak właśnie było – odrzekłem – skoro w tak krótkim czasie dotarli tak daleko.

– Są wycieńczeni – rzekł radośnie Oswi.

Biskup Oda przywiózł mi wieści z Eoferwicu, a podróż zabrała mu dwa dni mimo pomyślnych wiatrów. Tymczasem ludzie, którzy zbliżali się ku nam, przemieszczali się drogą lądową i zbiegli z miasta na końskich grzbietach. Sądziłem, że podróż z Bebbanburga do Eoferwicu zajmie mi jakiś tydzień, choć nie myślałem się spieszyć i zamierzałem spędzać noce w zaprzyjaźnionych dworach. Raz pokonałem ją w cztery dni, lecz nie w takim upale jak ten, jaki nawiedził nas wczesnym latem. Uciekinierzy z Eoferwicu opuścili miasto w pośpiechu i równie szybko podróżowali, lecz wioślarze Ody wyprzedzili ich bez trudu, a teraz zmęczone konie wiodły ich prosto w zasadzkę.

– To nie zasadzka – upierał się biskup, gdy użyłem tego słowa. – Jesteśmy tu, by przekonać króla Guthfritha, żeby wrócił do Eoferwicu. Ciebie również król Aethelstan chce tam widzieć.

– Mnie? – zapytałem krótko.

– W rzeczy samej. Chce również, żebyś zajął się uwolnieniem Guthfrithowego jeńca.

– Jeńców – poprawiłem go.

– W rzeczy samej – powtórzył lekceważąco. – Jednak sam Guthfrith musi wrócić do Eoferwicu. Potrzebuje zapewnienia, że król Aethelstan przybywa jako przyjaciel.

– Z dwoma tysiącami zbrojnych?

– Król Aethelstan lubi podróżować hucznie – odrzekł wyniośle Oda.

Aethelstan mógł twierdzić, że przybywa do Eoferwicu z przyjacielską wizytą, jednak w mieście i tak doszłoby do walk, bo po prawdzie był to podbój, błyskawiczna inwazja, i choć niechętnie doceniałem Aethelstana, podziwiałem

to, co udało mu się osiągnąć. Oda opowiedział mi, jak król przeprowadził liczącą ponad dwa tysiące ludzi armię przez granicę z Mercją i powiódł ją na północ, porzucając każdego człowieka i konia, który nie był w stanie iść dalej. Parli do przodu i dotarli do Eoferwicu, gdy ich obecność w Northumbrii wciąż była jeszcze niepotwierdzoną plotką. Południowa brama miasta została otwarta przez saskich wojowników, którzy weszli do Eoferwicu, udając kupców. Wkrótce potem armia Aethelstana zalała ulice miasta.

– Na moście doszło do walk – opowiadał Oda. – Ale z Bożą pomocą poganie zostali pokonani, a ci, którzy uszli z życiem, uciekli.

To ich prowadził teraz Guthfrith, a Aethelstan wysłał biskupa Odę z żądaniem, bym zamknął północne drogi i uniemożliwił Guthfrithowi ucieczkę do Szkocji. Oto dlaczego czekałem na zboczu pod palącym słońcem. Finan, mój syn i ja leżeliśmy bez ruchu wpatrzni w południe, podczas gdy biskup Oda kucał za naszymi plecami.

– A dlaczegoż to Guthfrith nie może zbiec do Szkocji? – spytałem go kwaśno.

Oda zbył moją głupotę wymownym westchnieniem.

– Bo to dałoby Konstantynowi powód, by najechać Northumbrię. Uznałby, że chce zwrócić tron prawowitemu władcy.

– Konstantyn jest chrześcijaninem – przypomniałem mu. – Po co miałby walczyć dla pogańskiego króla?

Oda znów westchnął. Wzrok miał utkwiony w oddali, gdzie droga niknęła w rozedrganym powietrzu.

– Król Konstantyn złożyłby własne córki w ofierze Baalowi, gdyby dzięki temu zdołał powiększyć swoje królestwo.

– Kim jest Baal? – spytał Finan.

– To pogański bóg – odparł lekceważąco Oda. – Zresztą jak długo waszym zdaniem Konstantyn będzie tolerował Guthfritha? Posadzi go z powrotem na tronie, ożeni z jedną ze swoich córek, po czym rozkaże go udusić. Tak oto Szkoci zdobędą Northumbrię. A zatem Guthfrith nie może dotrzeć do Szkocji.

– Tam – mruknął Finan. Daleko na drodze pojawiła się grupa konnych. Ledwie ich widziałem, niewyraźne sylwetki koni i ludzi. – Są wycieńczeni – dodał.

– Potrzebujemy Guthfritha żywego – ostrzegł mnie Oda. – Musi wrócić do Eoferwicu.

– Wciąż to powtarzasz, a ja nadal nie wiem dlaczego – mruknąłem.

– Bo taka jest wola króla Aethelstana. Oto dlaczego.

– Guthfrith to wypacykowany wypierdek – odparłem. – Lepiej byłoby go zabić.

– Król Aethelstan żąda, byś zachował go przy życiu. Modli się o to.

– A ja mam wypełniać jego rozkazy? Nie jest moim królem. Oda posłał mi srogie spojrzenie.

– Jest *monarchus totius Britanniae*. – Gapiłem się na niego, dopóki nie przetłumaczył. – Monarchą całej Brytanii.

– Tak się teraz tytułuje? – spytałem.

– Tak – odrzekł biskup.

Prychnąłem z pogardą. Odkąd został koronowany, Aethelstan nazywał siebie królem Sasów i Anglów, i rzeczywiście, miał prawo tak się tytułować. Lecz władca całej Brytanii?

– Śmiem twierdzić, że król Konstantyn i król Hywel mogą się z tym nie zgodzić – zauważyłem cierpko.

– Z pewnością – przyznał Oda ze spokojem. – Mimo to król Aethelstan chce, byś uniemożliwił Guthfrithowi ucieczkę do Szkocji i uwolnił jego jeńca.

– Jeńców.

– Jeńca.

– Nie obchodzi cię los kobiet? – spytałem.

– Modłę się za nie. Ale jeszcze bardziej modłę się o pokój.

– Pokój? – spytałem rozeźlony. – Najechanie Northumbrii ma zapewnić pokój?

Oda popatrzył na mnie zbolalym wzrokiem.

– W Brytanii panują niepokoje, panie. Zagrożają nam Norwegowie, Szkoci są niespokojni, król Aethelstan boi się, że nadciąga wojna. Obawia się też, że będzie to najstraszliwsza wojna w historii. Pragnie zapobiec rzezi i dlatego właśnie błaga cię, panie, żebyś uwolnił jeńca i odesłał Guthfritha bezpiecznie do domu.

Nie rozumiałem, dlaczego odesłanie Guthfritha miało zagwarantować pokój, przypomniałem sobie jednak smoka, który latając nad murami Bebbanburga, zwiastował wojnę. Spojrzałem na Finana – wzruszył ramionami, jak gdyby chciał powiedzieć, że rozumie tyle samo co ja, ale lepiej będzie, jeśli wykonamy polecenia Aethelstana. Nieco wyraźniej widziałem teraz mężczyzn w dolinie, dostrzegłem też kobiety idące na tyłach długiej kolumny konnych.

– Co zatem zrobimy? – spytał Finan.

– Pojedziemy tam – odparłem i zacząłem schodzić ze wzgórza. – Uśmiechniemy się miło i powiemy temu głupiemu draniowi, że jest naszym więźniem.

– Gościem – poprawił mnie biskup Oda.

Rorik pomógł mi wsiąść na konia, a Aldwyn podał mi wykończony srebrem hełm. Skórzana wyściółka była nieprzyjemnie gorąca. Zapiąłem hełm pod brodą, ale nie związałem osłon na policzki. W końcu wziąłem od Aldwyna tarczę z wymalowanym na niej wilczym łbem.

- Nie dawaj mi jeszcze włóczni - przykazałem mu. - A jeśli dojdzie do walki, trzymaj się z tyłu.

- Mnie mówił to samo - powiedział Rorik i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- I dlatego ciągle jeszcze żyjesz - warknąłem. Rorik służył mi przed Aldwynem, jednak teraz był wystarczająco dorosły, by stanąć w murze tarcz.

- Nie dojdzie do walki - zapewnił posępnie biskup Oda.

- To Guthfrith - przypomniałem mu. - Jest głupcem i zanim pomyśli, rzuca się do bitki. Zrobię jednak wszystko, żeby utrzymać tego półgłówka przy życiu. Ruszajmy!

Powiodłem swych ludzi na zachód, tak by Guthfrith nas nie zobaczył. Kiedy widziałem go po raz ostatni, był mniej więcej pół mili od zakrętu i poruszał się w ślimaczym tempie. My jechaliśmy szybko na wypoczętych koniach. Zjechaliśmy ze wzgórza, skręciliśmy i wjechaliśmy między sosny, przekroczyliśmy płynący wartko strumień i dotarliśmy do drogi. Tam ustawiliśmy się w dwuszeregu, tak by nadzieżdżający uciekinierzy zobaczyli dwa rzędy uzbrojonych konnych z malowanymi tarczami i błyszczącymi w słońcu włóczniami. Czekaliśmy.

Nie lubiłem Guthfritha, a on nie lubił mnie. Przez trzy lata próbował mnie zmusić, bym przysiągł mu lojalność, i przez trzy lata odmawiałem. Dwukrotnie wysyłał do Bebbanburga swoich wojowników, ja zaś dwukrotnie zamykałem Bramę

Czaszki i rzucałem wyzwanie jego włócznikom, by spróbowali zdobyć fortecę, a oni dwukrotnie odjeżdżali.

Teraz w prażącym słońcu jego ludzie znowu byli na mojej ziemi, lecz tym razem prowadził ich sam Guthfrith, a Guthfrith musiał być rozgoryczony. Wierzył, że skradziono mu królestwo, a niebawem miał zobaczyć moich ludzi z wymalowanym na tarczach wilczym łbem. Nie tylko mnie nie lubił, lecz wkrótce miał sobie uświadomić, że jego ludzie mają nad moimi przewagę liczebną. Biskup Oda mógł sobie roić, że nie dojdzie do walki, lecz zapędzony w kozioróg Guthfrith był niczym skunks w worku – rozjuszony i bezwzględny.

A do tego miał zakładników.

Nie tylko kobiety, choć te należało uwolnić. Podstępny Guthfrith porwał też arcybiskupa Hrothwearda z katedry w Eoferwicu.

– Podczas mszy! – poinformował mnie przerażony Oda. – Podczas mszy! Uzbrojeni ludzie w katedrze!

Zastanawiałem się, czy Guthfrith ośmieli się skrzywdzić arcybiskupa. Gdyby to uczynił, stałby się wrogiem każdego chrześcijańskiego władcy w Brytanii, choć może Konstantyn dusiłby złość na tyle długo, by posadzić Guthfritha z powrotem na tronie Northumbrii. Martwy arcybiskup to niewysoka cena za większą Szkocję.

I wtedy się pojawili. Pierwsi konni wyjechali ku nam zza zakrętu. Ujrzawszy nas, zatrzymali się, stopniowo dołączali do nich kolejni wojownicy.

– Podejźmy do nich – powiedział Oda.

– Nie – odparłem.

– Ale...

– Chcesz, żeby doszło do rzezi? – warknąłem.
– Ale... – spróbował znowu biskup.
– Ja pójdę – rzuciłem pod wpływem impulsu.
– Ty...
– Sam. – Oddałem tarczę Aldwynowi i zsunąłem się z siodła.

– Powiniennem iść z tobą – upierał się Oda.
– Żeby miał za zakładników dwóch księży? Biskupa i arcybiskupa? Na pewno byłby zadowolony.

Oda spojrział na ludzi Guthfritha, którzy powoli ustawiali się w szereg pokrywający się z naszym. Co najmniej dwudziestu z nich było spieszonych, konie reszty sprawiały wrażenie zbyt okulawionych, by można ich było dosiąść. Wszyscy wkładali helmy i chwyтали za tarcze z symbolem Guthfritha – dzikiem z długimi kłami.

– Zaproś go, by przyszedł i pomówił ze mną – zwrócił się do mnie Oda. – Obiecaj mu, że będzie bezpieczny.

Puściłem jego słowa mimo uszu i zamiast tego spojrziałem na Finana.

– Spróbuję spotkać się z Guthfrithem w połowie drogi – rzekłem. – Jeśli weźmie ze sobą ludzi, poślij za mną tyłu naszych.

– Idę z tobą – odparł Finan.

– Nie, zostaniesz tu. Jeśli zrobi się niebezpiecznie, będziesz wiedział, kiedy przyjść, a wtedy lepiej się pospiesz.

Pokiwał głową na znak, że rozumie. Finan i ja walczyliśmy razem od tak dawna, że rzadko musiałem mu wyluszczać swoje plany. Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Przybędę niczym wicher.

– Lordzie Uhtredzie... – zaczął Oda.

– Zrobię, co w mojej mocy, żeby zachować Guthfritha przy życiu – przerwałem mu. – I jeńców – dodałem po chwili.

Nie byłem pewien, czy mi się uda, wiedziałem jednak, że gdybyśmy ruszyli na nich wszyscy, doszłoby do walki, a do gardel zakładników przytknięto by ostrza. Guthfrith był głupcem, ale głupcem dumnym, i wiedziałem, że nie zgodzi się oddać jeńców, tak jak nie wróci pokornie do Eoferwicu. Musiał odmówić, inaczej straciłby twarz przed swoimi wojownikami.

A wojownikami tymi byli dumni ludzie Północy, którzy wierzyli, że na całym świecie nie ma wojów mogących się z nimi równać. Mieli nad nami przewagę liczebną i widzieli dla siebie szansę na rzeź i rabunek. Byli wśród nich młodzicy pragnący rozgłosu, złotych i srebrnych bransolet, którzy chcieli, by ich imiona wymawiano z szacunkiem i ze zgrozą. Chcieli mnie zabić, zabrać moje bransolety, moją broń i ziemię.

Ruszyłem więc ku nim sam i zatrzymałem się w połowie drogi między mną a zmęczonymi ludźmi Guthfritha, których z tej odległości dosięgłaby strzała wypuszczona z długiego łuku. Czekalem, a gdy Guthfrith się nie poruszył, usiadłem na przewróconym słupku milowym, zdjąłem hełm i obserwowałem stado owiec na dalekim wzgórzu. W pewnej chwili zadarłem głowę, żeby podziwiać szybującego wysoko w górze jastrzębia. Ptak zataczał kręgi, więc nie dostrzegłem w tym żadnego przesłania od bogów.

Poszedłem sam, bo chciałem, by i Guthfrith przyszedł sam; co najwyżej w asyście dwóch, trzech zbrojnych. Byłem pewien, że jest gotów do walki, wiedział jednak, że

jego ludzie są słabi, a konie zmęczone, i domyślałem się, że nawet głupiec pokroju Guthfritha będzie starał się uniknąć rozlewu krwi, jeśli mógł wygrać to starcie, nie tracąc przy tym kilkunastu wojowników. Poza tym miał jeńców i bez wątpienia myślał, że wykorzysta ich, by zmusić mnie, żebym się wycofał.

Tymczasem on nadal się nie ruszył. Musiał być zaskoczony. Zobaczył, że jestem sam i najwyraźniej się nie boję, jednak człowiek nie zostaje królem, jeśli nie jest przebiegły, i Guthfrith zastanawiał się pewnie, gdzie czai się podstęp. Pozwoliłem mu wierzyć, że nie ma żadnego, wstałem, szturchnąłem nogą na wpół zakopane kamienie na starym rzymskim trakcie, wzruszyłem ramionami, po czym zacząłem odchodzić.

Gdy to zobaczył, ruszył w moją stronę. Słyszac tętent kopyt, odwróciłem się, włożyłem hełm i się zatrzymałem.

Towarzyszyło mu trzech ludzi. Dwóch wojowników, jeden z nich prowadził kuca, na którym jechał arcybiskup Hrothweard. Wciąż miał na sobie bogato haftowane szaty, które chrześcijańscy księża przywdziewali w kościele. Był cały i zdrowy, choć zmęczony, twarz miał czerwoną od słońca, a siwe włosy potargane.

Usłyszałem stukot kopyt za plecami, a gdy się obejrzałem, zobaczyłem, że Finan wysłał za mną Berga i mojego syna.

- Zostańcie z tyłu! - krzyknąłem do nich.

Zobaczyli, że Guthfrith i jego ludzie dobyli mieczy, i oni także wyjęli z pochew długie ostrza. Berg stanął naprzeciw człowieka trzymającego kuca, którego dosiadał Hrothweard. Stojący z lewej mój syn ustawił się naprzeciw drugiego zbrojnego.

– Co... – zaczął.

– Milcz! – przerwałem mu.

Guthfrith zatrzymał rumaka dwa, trzy kroki ode mnie. Pulchna, okolona hełmem twarz króla błyszczała od potu. Jego brat, jednooki Sigtryggr, był urodziwym mężczyzną, lecz Guthfrith nie znał umiaru w jedzeniu i piciu i spasiony ledwie mieścił się w siodle. Miał małe, podejrzliwe oczka, płaski nos i długą, splecioną w warkocz brodę, która opadała mu na bogato zdobioną kolczugę. Rząd jego konia wykonano ze srebra, jego hełm wieńczyło czarne skrzydło kruka, a ostrze miecza dotykało szyi Hrothwearda.

– Arcybiskupie – rzekłem na powitanie.

– Lordzie Uht... – zaczął Hrothweard, urwał jednak gwałtownie, gdy Guthfrith mocniej przycisnął miecz do jego gardła.

– Najpierw zwróć się do mnie – warknął Guthfrith. – Jestem twoim królem.

Spojrzałem na niego i zmarszczyłem brwi.

– Przypomnij mi, jak masz na imię – odrzekłem i usłyszałem, że mój syn chichocze.

– Chcesz, żeby ten klecha umarł? – spytał rozjuszony Guthfrith. Napał na miecz, zmuszając Hrothwearda, by ten odchylił się w siodle. Przerażone oczy arcybiskupa patrzyły na mnie znad szarej klingi.

– Nieszczerólnie – rzuciłem niedbale. – Nawet go lubię.

– Na tyle, żeby błagać o jego życie?

Udałem, że się zastanawiam, po czym skinąłem głową.

– Będę błagał o jego życie, jeśli obiecasz, że puścisz go wolno.

Guthfrith rozciągnął usta w uśmiechu.

– To będzie kosztować – odrzekł. Zauważyłem, że jest mu niewygodnie. Hrothweard siedział po jego lewej, Guthfrith zaś trzymał miecz w prawej ręce.

– Wszystko ma swoją cenę – przypomniałem mu i zrobiłem nieznaczny krok w lewo, przez co zmusiłem Guthfritha, by na wpół odwrócił głowę od arcybiskupa. Miecz w jego dłoni zadrżał. – Król Aethelstan – ciągnąłem – chce z tobą mówić. Obiecuje, że zachowasz zarówno życie, jak i swoje królestwo.

– Aethelstan to świński wypierdek – warknął Guthfrith. – Chce dostać w swoje łapy Northumbrię.

Rzecz jasna miał rację, przynajmniej jeśli chodziło o to, czego chce Aethelstan.

– Aethelstan dotrzymuje danego słowa – zapewniłem go. Tymczasem prawda była taka, że Aethelstan zdradził mnie i złamał obietnicę, ja zaś robiłem dokładnie to, czego ode mnie chciał.

– Przysięgał, że nie najedzie Northumbrii, póki żyjesz, a jednak tu jest! – zaperzył się Guthfrith.

– Przyjechał z tobą pomówić, to wszystko.

– Może powinienem cię zabić. Może właśnie tego chce ten gnojek.

– Możesz spróbować – odparłem. Koń mojego syna zatańczył za moimi plecami, uderzając kopytem o jeden z kamieni, którymi usiana była droga.

Guthfrith podjechał bliżej, wywinął mieczem i opuścił go tak, że ostrze mierzyło teraz we mnie.

– Nigdy nie przysięgłeś mi wierności, lordzie Uhtredzie – przypomniał mi. – A przecież jestem twym królem.

– To prawda – przyznałem.

– Ukłękniij więc, jarlu Uhtredzie. – Wymówił słowo „jarl” z szyderczym uśmiechem. – I złoż mi przysięgę.

– A jeśli tego nie zrobię?

– Wówczas posmakujesz Kła Dzika. – Domyśliłem się, że tak nazywał się jego miecz, który był teraz niebezpiecznie blisko mojej twarzy. Widziałem rysy na ostrzu, czułem na policzku gorącą stal i oślepiło mnie słońce, które odbijało się od zawijasów zdobiących kutą stal. – Na kolana! – rozkazał Guthfrith, a ostrze w jego dłoni drgnęło.

Spojrzałem w jego małe, ciemne, podejrzliwe oczka.

– W zamian za przysięgę żądam życia arcybiskupa – odrzekłem. – I pozostałych zakładników.

– Nie masz prawa niczego żądać – warknął. – Niczego! – Pchnął mieczem, którego czubek zazgrzytał na kółkach kolczugi, zmuszając mnie, żebym się cofnął się o pół kroku. – Przysięgniesz mi i dostaniesz tylko to, co postanowię ci dać. A teraz na kolana! – Kolejny raz dźgnął mnie mieczem, tym razem nieco mocniej.

Mój syn jęknął zaskoczony, gdy potulnie upadłem na kolana i spuściłem głowę. Guthfrith zachichotał i zbliżył czubek miecza do mojej twarzy.

– Ucałuj ostrze – przykazał mi. – I złoż przysięgę.

– Lordzie królu – rzekłem pokornie i urwałem. Lewą ręką wymacałem kamień wielkości pięści.

– Głośniej! – wycodził.

– Lordzie królu – zacząłem znowu. – Przysięgam na Odyna... – Po tych słowach chwyciłem kamień i cisnąłem nim w koński łeb. Trafiłem w wędzidło, niszcząc srebrną ozdobę, lecz cios musiał zabołeć, bo rumak zarżał i stanął dęba. Miecz Guthfritha zniknął mi sprzed

oczu. – Teraz! – ryknąłem, choć ani mój syn, ani Berg nie potrzebowali zachęty. Podczas gdy Guthfrith walczył o to, by utrzymać się w siodle, ja zerwałem się z ziemi i przeklinając ból w kolanach, chwyciłem go za rękę, w której trzymał miecz. Mój syn rzucił się na jednego z jego wojowników i ciął go mieczem w brzuch. Uczepiłem się Guthfritha i szarpnięty przez spłoszonego konia, zatoczyłem się w prawo. W końcu Guthfrith runął na ziemię. Wówczas wyrwałem mu miecz, ukląknęłam mu na brzuchu i przytknąłem mu do potarganej brody Kiel Dzika. – Mogę ci obiecać tylko jedno, ty żaloszna ropucho – wycodziłem. – Że cię zabiję.

Szarpnął się i znieruchomiał, gdy opuściłem ostrze.

Za moimi plecami szarżował Finan. Moi ludzie opuścili włócznie, ich ostrza lśniły w blasku słońca. Wojownicy Guthfritha zareagowali nieco wolniej, lecz oni także nadciągali.

Kolejny raz nie byłem pewien, czy walczę po właściwej stronie.